KRAKOWSKI MIESIĘCZNIK ARTYSTYCZNY.

ORGAN TOWARZYSTWA OCHRONY PIĘKNOŚCI KRAKOWA i OKOLICY.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA
KRAKÓW. – UL. BISKUPIA V.

NUMER 3 i 4. MARZEC-KWIECIEŃ 1913 R.

DO NASZYCH PRZYJACIÓŁ.

Po całym obszarze Polski rozrzuconych jest wiele zabytków, nieznanych szerszemu ogółowi, wiele zakątków uroczych a ukrytych, których utrwalenie i rozpowszechnienie wiadomości o nich jest bardzo pożądanem.

W wydawnictwie przez nas podjętem otwiera się pole dla tych dążeń, w imię których czujemy się upoważnieni zwrócić się do Wszystkich, podzielających naszą serdeczną troskę o zachowanie zagrożonej piękności kraju, z zaproszeniem do wzięcia udziału w naszych usiłowaniach, przez nadsyłanie wiadomości, zdjęć fotograficznych, sztychów, ilustracyi, rysunków i t. d., ciekawych budowli i partyi krajobrazowych, zarówno pięknych, jak i mogących posłużyć za przykład odstraszający.

Zapraszając do zapisywania się na członków Towarzystwa, zwracamy uwagę, że tego rodzaju instytucye winny mieć tysiące członków.

Podajemy wyciąg naszego statutu:

§ 2. Celem Towarzystwa jest inicyatywa i współdziałanie w upiększaniu, a przeciwdziałanie w oszpecaniu miasta Krakowa i okolicy;

§ 5. Członkowie dzielą się na:

a) Założycieli, którzy na cele Towarzystwa złożą jednorazowo najmniej 200 Kor.;

b) Wspierających; mogą być nimi instytucye lub jednostki, które zobowiążą się wnosić na rzecz Towarzystwa najmniej 25 Kor. rocznie;

c) Zwyczajnych, płacących roczną wkładkę 6 Kor.

ADRES: TOWARZYSTWO OCHRONY PIĘKNOŚCI M. KRAKOWA I OKOLICY - KRAKÓW, BISKUPIA 5.

ROCZNIK 3. REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW, UL. BISKUPIA 5. MARZEC-KWIECIEŃ.

MIESIĘCZNIK ARTYSTYCZNY

ORGAN POŚWIĘCONY SPRAWOM:

ZWIĄZKU TOWARZYSTW UPIĘKSZANIA KRAJU, TOWARZYSTWA OCHRONY PIĘKNOŚCI KRAKOWA, TOWARZYSTWA UPIĘKSZENIA M. LWOWA I OKOLICY.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

W KRAKOWIE BEZ ODNIESIENIA DO DOMU . K. 4·— ‖ Z PRZESYŁKĄ ZAGRANICĘ . . . . . MK. 4 = RB. 2·—
Z PRZESYŁKĄ W AUSTRYI . . . . „ 5·— ‖ ZESZYT POJEDYNCZY . . . . K. —·50

ROCZNIE UKAZUJE SIĘ DZIESIĘĆ ZESZYTÓW.

NR. 3, 4. REDAKCYA I ADMINISTRACYA: LWÓW, UL. MOCHNACKIEGO 58. 1913 R.

TRAMWAJE KRAKOWSKIE — OBJEKTYWNE UWAGI

I. STAN OBECNY.

Kraków się rozrasta — z królewskiego grodu czasów świetności ograniczonego do obecnego śródmieścia i Kazimierza, który był miastem samoistnem, doszliśmy do Wielkiego Krakowa, zajmującego powierzchnię tak znacznie większą — zmieniła się przestrzeń, zmieniły się warunki bytu, a zatem poszła zmiana środków komunikacyi, a w związku z obydwoma tymi czynnikami zmiana rozmieszczenia ludności i kierunku jej ruchu.

To też teraz na środki komunikacyi w Krakowie nie można się zapatrywać tak, jak przed niewieloma nawet laty. Nie można zapominać o tem, czem Kraków może za lat kilka być. Brak oryentacyi na przyszłość może przynieść nieobliczalne szkody. Mamy zaś nieoceniony na to przykład na naszych tramwajach, tej największej bolączce Krakowa. Tramwaje tu, zamiast być dobrodziejstwem dla mieszkańców, stały się plagą, środkiem tortur, hamulcem w rozwoju handlu, a nawet czynnikiem tępiącym go możliwie najenergiczniej. Od tramwajów zagrożony jest spokój mieszkańców w nocy, bezpieczeństwo przechodniów we dnie i bezpieczeństwo tych, którzy się na jazdę niemi odważają. Dalej grożą one całości budynków a najokropniej szpecą i zbezczeszczają powagę zabytkowych budowli w klejnocie naszym — śródmieściu Krakowskiem, drutując i obstawiając je słupami.

A to wszystko jest wynikiem jednego, błędnego założenia — kiedyś — w zamierzchłych, w porównaniu do szybkiego rozwoju Krakowa czasach — kiedy zakładano tramwaje konne.

Ot jechał sobie, ciągniony przez małe, węgierskie koniki niewielki wózek i nie szkodził nikomu, a to, że jechał po szynach, ostatecznie nie zwracało zbytniej uwagi. Ale po tych szynach szedł potem tramwaj motorowy — tą samą drogą — temi samemi wązkiemi uliczkami. A to dlatego, że przez szereg lat pewna garstka ludzi przywykła jeździć po tych szynach i oburzyłaby się, gdyby im ten środek komunikacyi nawet dla dobra większości usunięto. W ten sposób odrutowano rynek w okolicy kościoła Maryackiego — była nawet mowa o rozebraniu w tym celu Bramy Floryańskiej.

Teraz potrzeba nam komunikacyi na wielką skalę i znowu ten sam czynnik powoduje, że trudno jest postępować wprost tak, jakby należało — podniósłby się krzyk i to większy jeszcze niż ten, coby powstać mógł przy przeniesieniu tramwaju motorowego po usunięciu konnego, gdyż więcej ludzi przywykło do używania tramwaju, który nam dotąd służył i wielu będzie pokrzywdzonych. Ale gorszem złem byłoby wydanie kroci na to, by tramwaj nowy był

w jeszcze większych rozmiarach plagą i szkodnikiem.

Wiele i mądrze pisano o zadaniach nowego tramwaju elektrycznego w Krakowie — były artykuły takie, jak arch. Kaczmarskiego, które do każdego musiały przemówić — mimo to wykonany przez m. dyr. Tramwajów plan sieci dla Wielkiego Krakowa zasadnicze błędy dawnego konnego tramwaju za sobą wlecze. Jest to brak odwagi by się narazić pewnej garstce, gdyż trudno przypuszczać by tych błędów projektujący nie widzieli. W rzeczach pożytku ogólnego nie może być kompromisów i półśrodki są strasznem przestępstwem w porównaniu do kosztów, które taka inwestycya za sobą pociąga.

By sobie z tych błędów zdać sprawę trzeba się raz jeszcze zastanowić nad tem, co ostatecznie każdemu wiadome, ale może nie zupełnie jasne: 1. czem jest tramwaj, 2. czego się od niego wymaga.

Otóż tramwaj jest po prostu środkiem komunikacyi pośrednim pomiędzy koleją a zwykłym wozem konnym, typem bardziej zbliżonym do kolei i podlegającym podobnym jak ona warunkom. Służąc do łączenia większych przestrzeni, daje zato możność częstszych przystanków.

By tym warunkom zadość uczynić tramwaj powinien:

a) łączyć poszczególne punkty na najkrótszej drodze,

b) poruszać się możliwie jak najszybciej;

c) jaknajczęściej stawać, o ile tego komunikacya wymaga;

d) wreszcie być tak założonym, by publiczności dawać gwarancyę bezpieczeństwa życia i zdrowia a także wypełnienia powyższych warunków, szczególnie co do czasu — gdyż tramwaj, na który trzeba czekać dłużej, niż trwa przebycie danej przestrzeni piechotą mija się z celem. Nie potrzeba chyba dodawać, że tramwaj, będąc jednym z doskonalszych środków komunikacyi pod żadnym pozorem nie powinien stanowić sam przeszkody ruchu ulicznego szczególnie pieszego, który się niczem zastąpić nie da.

A teraz — czy dotychczasowy tramwaj w Krakowie czynił zadość tym warunkom? — Niema chyba jednego człowieka, któryby mógł odpowiedzieć twierdząco, gdyż w rzeczywistości sprzeciwia się on każdemu z wyżej wyliczonych warunków. Wszystkie punkty łączy pośrednio przez Rynek, tworząc w śródmieściu węzeł centralny nie dający się niczem usprawiedliwić.

Założony jednotorowo, z bardzo rzadkiemi miejscami do wymijania, na których wóz musi długie chwile wyczekiwać nadejścia wozu z przeciwnej strony, by go wyminąć, jedzie chwiejnie na wązkim torze o szynach niedostatecznie podłożonych, i wreszcie nie daje żadnej gwarancyi pasażerowi, że zajedzie prędzej niżby ten drogę przebył piechotą i faktycznie służy tylko tym, którzy mają dużo czasu do stracenia oraz chorym i kalekom, którym chodzenie wogóle sprawia trudności,

Co do przystanków, to niełatwo roztrzygać na małych przestrzeniach, które dotychczasowy tramwaj łączy, można jednak śmiało powiedzieć, że przystanki nie są tam, gdzie tego komunikacya wymaga. Oto np. na ul. Szewskiej niema ani jednego przystanku i tu stałe zatory wozowe oddają pasażerom pewne usługi. Dalej przystanek na Rynku koło pomn. Mickiewicza założony tak, że trudno doprawdy tam czekać na tramwaj z powodu zbytniego ruchu, zato na rogu Grodzkiej przystanku niema ani na rogu Floryańskiej. Są one wszystkie przesunięte na środek Rynku o złym bruku w miejscu gdzie błoto, wozy, wojsko i t. p. czynią długie oczekiwania właściwych wozów zupełnie niemożliwemi.

Teraz co do bezpieczeństwa. Pomijam to, że budowa obecnych wozów, zastosowanych do wązkich uliczek, jest niepraktyczną i że znaczna mniejszość jadących niemi ma

miejsce wygodne, pomijam to, że tramwaje są stare a szyny zużyte i wozy w niemożliwy sposób trzęsą i kołyszą a zakręty zbyt krótkopromienne przez co wozy jadąc po nich, szarpią gwałtownie, tak, że wypadki rozmaitego rodzaju są dosyć powszechne — te błędy są każdemu wiadome i nie ma wątpliwości, że przy zakładaniu nowych linii będą umiejętnie usunięte. Ale wchodzą tutaj inne czynniki, których usunąć się nie da. Tramwaj kursuje głównie po śródmieściu, po ciasnych i krętych jego uliczkach i po Rynku, wobec tego zamiast być środkiem komunikacyi staje się sam gwałtowną przeszkodą ruchu kołowego a co najgorsza pieszego, w najgęściej zaludnionej, handlowej części miasta. Jest to objaw prawie nigdzie nie spotykany. Jest to najfatalniejszy skutek zasadniczego błędu pierwotnego. T r a m w a j b e z w a r u n k o w o p o ś r ó d m i e ś c i u k u r s o w a ć n i e p o w i n i e n. Terytoryum jego powinno się kończyć na pierścieniu plant.

Wobec tego zaś, że tylu i to bardzo poważnych ludzi obstaje przytem, by tramwaj był w śródmieściu, należy się zastanowić nad tem, czy on rzeczywiście jest tam potrzebny i jakie usługi mógłby oddawać.

Czy są w śródmieściu takie przestrzenie by normalny, zdrowy człowiek nie mógł ich przebyć piechotą? Nie — Największa długość śródmieścia od północy na poł. przez ul. Sławkowską, Rynek i Grodzką wynosi tylko 1250 m. czyli kilometr i ćwierć a na przebycie całej tej przestrzeni nie potrzeba więcej nad dwadzieścia minut. Odległość pomiędzy plantami od zachodu na wschód w miejscu najszerszem wynosi tylko 660 m. czyli zaledwie 12. min. piechotą. To nie są przestrzenie wymagające komunikacyi szynowej szybkiej, tramwaju więc nie potrzeba do ich zmniejszenia. Ale za to wprowadzając tramwaj do śródmieścia wyrządzamy mu nieobliczalne szkody. Przedewszystkiem obniża się wartość budowli. Mieszkania, biura i sklepy przy ulicy wązkiej, przez którą jedzie tramwaj, tracą na wartości, gdyż huk, dzwonienie i wstrząśnienia, wywołane przez tramwaj zakłócają spokój, uniemożliwiają pracę i wpływają niekorzystnie na zdrowie mieszkańców.

Na to przecież robi się asfaltowe bruki i zaopatruje się wozy w koła gumowe, by turkot nie przeszkadzał — a czyż może się turkot dorożki porównać z łoskotem i wstrząśnieniami, wywołanemi przez peryodyczne przejazdy ciężkich wozów tramwajowych. To dopiero jeden czynnik ale dostateczny, by tramwaj skazać na wygnanie ze śródmieścia. Ale jest ich więcej.

Chcemy przecież, by w śródmieściu koncentrował się ruch handlowy, przemysłowy i intellektualny naszego miasta. By cel osiągnąć musimy stworzyć ku temu korzystne warunki. Ale tramwaj przejeżdżający przez śródmieście nie jest w tym wypadku czynnikiem dodatnim. Chcąc podnieść frekwencyę naszych sklepów, raczej powinniśmy się starać o podniesienie i ułatwienie ruchu pieszego. Zakłada się sklepy ze wspaniale wyposażonemi wystawami, a tymczasem na wązkich chodnikach, wśród łoskotu przejeżdżających wozów i potrącania przechodniów, przyglądanie się wystawom jest w wysokim stopniu utrudniene. Ten co wziął bilet, by z jednego krańca miasta do drugiego się dostać, napewno nie ma czasu na to, by stawać przed wystawami sklepów w śródmieściu i wchodzić do nich na zakupy. Zaś ci, co wybrali się z zamiarem kupienia czegoś idą po okolicach, gdzie są sklepy, piechotą i dla nich spacer najwyżej 10 minut, czyli przebycie połowy największej odległości w śródmieściu, nie będzie zbyt długim. Zato, gdyby w śródmieściu tramwajów nie było, chodniki mogłyby być wygodniejsze, bruki lepsze i krążenie dla pieszych bezpieczniejsze tam, gdzie poruszają się tylko pojazdy, zdolne do swobodnego wymijania. Gdyż ważną

okolicznością u tramwaju są szyny uniemożliwiające swobodne wymijanie przeszkód. Zasada przeprowadzająca tramwaje przez śródmieście wywołuje ruch »transitowy« z odleglejszych krańców miasta, przez co wpływa raczej osłabiająco na ruch w śródmieściu. Wiele ludzi przejeżdża — mało się zatrzymuje. Nie może to wpływać dodatnio na handel.



Wreszcie pozostaje jeszcze jeden bardzo ważny czynnik do poruszenia. Wspomniałem już wyżej o odrutowaniu Rynku i o zamiarach zburzenia bramy Floryańskiej, by tramwaj przeprowadzić. Faktem jest, że

dekret zwalenia jej miał już zapaść na radzie miejskiej i tylko obawa przeciągów, które ona powstrzymuje ocaliła ją przed zgubnymi skutkami zapału komunikacyjnego. Niewiele oględniejsi jesteśmy dziś jeszcze. Podobnego wandalizmu jak propozycya prowadzenia tramwaju przez ul. św. Anny, nie dopuściłoby się żadne inne miasto europejskie. W śródmieściu krakowskim mamy skarby jedyne prawie na ziemiach polskich nawet unikaty wartości światowej. Umiemy wprawdzie czasem niemi się chwalić, ale szanować ich nie potrafimy. Sąsiedztwo tramwajów nietylko szpeci wiekowe budowle odrutowaniem siecią żelazną — nie tylko sprowadza niemiły kontrast i mąci jednolitość obrazu i charakter historyczny śródmieścia — nad tem dałoby się dyskutować. Ale przedewszystkiem bezpośrednio zabytki te niszczy i przyspiesza ich zagładę która kiedyś musi nastąpić, tylko że myśmy powinni starać się jaknajdłużej je przed zniszczeniem chronić nie zaś sami przyczyniać się do przyspieszenia smutnej chwili, kiedy te kochane przez każdego zabytki, zaczną jedne po drugich znikać z obrazu, który nam śródmieście przedstawia. Tramwaje bowiem wywołują ciągłe wstrząśnienia i wprawiają w drganie całe gmachy, a skutki tego nie są wprawdzie tak gwałtowne jak trzęsienia ziemi, ale działając przez długi przeciąg czasu niewiele przed niemi ustępują niszczą bowiem spoistość części budowli tak dalece, że n.p. cegły w murze leżą zupełnie swobodnie a wapno się zpomiędzy nich wysypuje. Ten czynnik w połączeniu z wpływami atmosferycznemi stale działając na prastare mury pomników architektury bezwarunkowo przyspiesza ich koniec, a wtedy zwycięzkie tramwaje będą mogły spokojnie krążyć po śródmieściu, gdyż nowe ulice będą mogły być odpowiednio do takiej komunikacyi szerokie i proste, to bowiem są najważniejsze warunki do tego by tramwaj spełniał swoje funkcye z korzyścią dla mieszkańców.

Witold Małkowski.

VIII. DZIELNICA KRAKOWA — MIASTO KAZIMIERZ.

I oto wchodzimy w miasto kilkuwiekową zczerniałe patyną, wchodzimy w labirynt ulic i uliczek, przecznic, zaułków i zakątków, utworzonych z rozległych, średniowiecznych, klasztornych budowli, potężnych gotyckich kościołów, legendowych siedzib biskupich, wilgotnych murów miejskich, dawnych baszt i lamusów, bogatych kupców tutejszych, zamożnych mieszczan. Linie dachów kamienic, szczytów kościelnych dzwonnic, sylwety zrudziałych, obszarpanych kominów, tu korony drzew stuletnich dawnych sadów i ogrodów uzupełniają się wzajem, łączą w potężne widma, olbrzymieją z każdą chwilą przedwieczornej pory: zda się, że jesteśmy przeniesieni czarami w przeszłe, zamierzchłe wieki bezpowrotnych czasów.

I oto wejdźmy w rozległe zajazdowe podwórza z obiegającemi wokół galeryami ganków, na drewnianych wspartych kroksztynach, to znów umieszczonych na podmurowaniu powycinanem w łukowe przejścia... a ujrzymy motywy matejkowskiego godne ołówka, dziedzińce, jakby na sztychach dürerowskich wzorowane, z walącemi się od starości i zużycia dobudówkami, zabytki średniowiecznego budownictwa drzewianego. Przesuwamy się dalej wzdłuż ciemnych uliczek, jak wówczas, gdy jeszcze drewniane rynny, wysunięte na środek ulicy po przez miedziane paszcze rzygały strugami deszczowej wody.

Mijamy stare bóżnice żydowskie, z pamiątkowymi cmentarzami, gdzie spoczęły

prochy tego tułaczego ludu, który tu szukał schronienia na polskiej ziemi... patrzymy, jak zapadła się Synagoga kazimierzowską zwana, powodzią wieków w grób wtłoczona; przystajemy na ulicy Szerokiej, która tak mocno Stare Miasto w Warszawie przypomina...

Jakże czarowną baśnią a widowiskiem drogocennem byłaby ta VIII dzielnica Krakowa, gdyby ją można ujrzeć bez tej nędzy jak rak ją toczącej, bez tej ruiny zniszczenia, brudu i zaniedbania, ujrzeć ją znowu taką, jaką była przed wiekami, zobaczyć odbudowaną i odnowioną, otoczoną pieczą i poszanowaniem, na jakie zasłużyła.

Niech tylko mroki nocne rozpierzchną się, niech jeno słońce oświeci szczyt wieży Bożego Ciała i podniosłe podpory kościoła św. Katarzyny, niech od strony Skałki rozlegnie się dzwon do rannych wzywający pacierzy, niech pospieszą na modlitwy poważne postacie mężczyzn w powłóczyste odziane szaty; a zobaczymy, jaka tu praca wrzeć poczyna; jak padają pod uderzeniami stalowych kilofów i oskardów mury starych budynków, jak sterczą ku niebu ogołocone z dachów kominy; jak otwierają się przed naszemi oczyma wnętrza komnat i alkierzy, izby sklepione i mury potężne; jak w gruz się rozsypują misterną rzeźbą pokryte gzymsy, portale ozdobne, stropy kasetonowane, modrzewiowe belki....

I ujrzymy jak tam podcinają całe potężne naroże, aby uczynić sklepy — ówdzie jak rozdzierają przepiękne okna — tu jak niszczą dawną, wjazdową, obszerną bramę, sklepioną sień, tam znów dobudowują piętra, łamiąc przeszlachetną linię całego szeregu kamienic.

I ujrzymy znowu całą moc nowych domów, kafelkowych narożnych pieców, zobaczymy kamienice z piętnem faryzeuszowskiego smaku, nigdy dosyć nie syte molochy dwudziestego wieku — gniazda cuchnące betonem i nowoczesną nędzą ludzkiego mrowiska, ujrzymy wytwory barbarzyńskiej, przemyślnej chciwości...

I czar prysnął.

Kazimierz, to dawne, samodzielne, królewskie miasto, które dochowało się do ostatnich prawie lat ubiegłego wieku nienaruszone, poszło za przykładem Krakowa w niszczeniu tego co cenne, co tak pełne ważności, w burzeniu tego wszystkiego co stanowiło jego jedyną jeszcze wartość, co nadawało mu czaru, co było jego poezyą, wyrazem, duszą.

Utarło się przekonanie, że Kazimierz jeżeli budzi jaką ciekawość, to tylko dzięki Skałce, kościołowi św. Katarzyny i starej Synagodze, tak atrakcyjnej podczas każdych tego rodzaju wycieczek. Reszta to nędza, brud, próchno i ruina. Przekonanie to, atoli choć słuszne, ale niezupełne, krzywdzące całe szeregi domów i kamienic, wiążących się w tak przepiękne ulice, o tak szlachetnych, a niespodziewanych pod względem artystycznym zamknięciach, że prawie wyjątkowych, które mogłyby być chlubą takich miast, jak Haarlem, Norymberga i inne...

Przykładem żywym mogą być: ul. Krakowska z wszystkiemi wbiegającemi w nią przecznicami, jak Miedzuch, św. Katarzyny, Skałeczna, św. Józefa, prowadząca w samo serce dawnej żydowskiej dzielnicy, znów ze swemi przecznicami, z całą siecią plączących się uliczek, zakątków, jak Estery, Kupa, św. Jakóba, Izaaka, ul. Ciemnej, wreszcie Szerokiej. Tu i ówdzie wprowadzają rozdźwięk nowe kamienice, najczęściej bez najmniejszej wartości, ale przecie można jeszcze spotkać nienaruszone zakątki, które domagają się gwałtownie ochrony i opieki, osobliwie przy końcu ul. św. Józefa w okolicy bożnicy Wysokiej, ul. Wązkiej i Starej Synagogi; bardzo cennym jest potężny jednopiętrowy dom o trzech frontach, od ul. Józefa, Bożego Ciała i Miedzuch, obecnie rab. Meizelsa, ze względu na swe podwórze, które, gdy się raz widzi, już nie zapomina się nigdy. Dalej kilka domów przy ul. Józefa (pomijam zabudowania pod

l. 9 i 11. które należą do kościoła Bożego Ciała) pod l. 10, 22, 24, 15; wreszcie cała partya domów w blizkości bożnicy Bazyka, jak narożne domy ul. Józefa i Kupa 28, 21; ul. Jakóba 6 i Ciemnej 14; Kupa 22 i Izaaka 7, gdzie spotkać się można z partyami niezwykłej piękności tak fasad, jakoteż i wewnętrznej struktury.

Tamtego roku runęło kilka domów niezmiernej wagi np. cały kompleks kamienic od ul. Szerokiej l. 18. 20 i od ul. Dajwor, przytykających do bożnicy Popera, dalej przy ul. Miedziuch i Bożego Ciała, wreszcie przy samem wejściu na Kazimierz cała partya jednopiętrowego zabudowania na rogu ul. Krakowskiej i Miodowej.

Ten sam los czeka i narożnik ul. Krakowskiej i rab. Mejzelsa ze szczątkami starych murów godnych nietylko uwagi i ołówka. Z resztkami dawnych murów miejskich spotkać się możną przy bożnicy Kupa, przy ul. Warszauera, widoczne są one przy niskiej (pod l. 6) chatce, podtrzymywanej staraniem obecnego jej właściciela, poczciwego dziwaka.

Do murów miejskich przytyka potężna budowla o pięknej fasadzie przy ul. Szerokiej l. 1. i 2, z Jagiellońskich pochodząca czasów, o ciekawej nadzwyczaj sieni i klatce schodowej. Nad domem tym debatowała swego czasu (1865) krak. Akad. Umiejętności, czy przypadkiem nie powstał on na fundamentach dawnej Akademii Kazimierzowskiej. Bez względu jednak na to kamienica ta, majestatyczna a poważna posiada jako dzieło architektury pierwszorzędną wartość. Godnym uwagi jest wystający od ul. Miodowej widermach i mury miejskie, które można widzieć od podwórza,

Bez wątpicnia, że Kazimierz tyle zabytkowych budowli, co Kraków (naturalnie w obrębie plant i z wyjątkiem sąsiedztwa Wawelu), nie posiada, co jednak ma, jest starsze i więcej interesujące. Mieszczanie kazmierscy mniej byli wrażliwi na panujące mody, częściej używali kielni polskiej do budowy, niż Kraków, dokąd zjeżdzali się budownicy i rzeźbiarze z dalekich sprowadzani stron.

Budownictwo kazimierskie o ile ulegało wpływom obcym to pośrednio, przez Kraków, więcej zatem zachowało cech rodzinnych i swojskich, przez co jest dla historyi sztuki tak ważne.

Kazimierz miał swą epokę niezmiernie bujną i płodną, która wydała takie potężne arcydzieła jak św. Katarzyna i Boże Ciało. musiały więc powstać i domy i kamienice na tym samym poziomie twórczości stojące. Budowli tych można się doszukać przy ul. Szerokiej i Wąskiej, ze szczątkami można się spotkać tu i ówdzie w starych podwórzach przy ul. Ciemnej, Józefa... Wiele podobnych domów zburzono i to niedawno jeszcze, wiele jednak jest ukrytych i zabudowanych późniejszemi oficynami, jak w sąsiedztwie bożnicy wysokiej. którą ś. p. Eustachy Ekielski uważał (nie bez racyi) za ten dom, który został przebudowany z gmachu Akademii, fundowanej tu przez Kazimierza.

Kazimierz stał przez całe dziesiątki lat w zaniedbaniu. Mieszczaństwo tutejsze należało do tego rodzaju, który mało dba o wygląd swych kamienic. Ze skąpstwa, z braku pieniędzy i czasu domy te stały nieodnawiane i nieprzebudowywane, i właśnie dzięki temu możemy się spotkać z okazami budownictwa. daleko starszego, niż w Krakowie. Najwięcej modernizowano dachy, a to wskutek pożarów, które kilkakrotnie nawiedzały to miasto. Najbardziej ucierpiała żydowska dzielnica, wzniesiona prawie cała z drzewa, która dzisiaj mogłaby być źródłem badań nadzwyczaj cennych dla historyków polskiego budownictwa.

Niszczycielska praca burzenia święci swe występne tryumfy, obdarzając nasze polskie miasta szpetną lichotą. Giną dawne szerokie podwórza. Dawne sady i ogrody parceluje się lub zabudowuje oficynami, za-

bija się zdrowotność miasta, chociaż tak niby o nią chodzi, taki nacisk się kładzie przy wznoszeniu nowego domu. Z jednej strony troska o zdrowie mieszkańców, więc burzenie ruin spróchniałych i niby nie dających się odbudować, zwietrzałych murów (przy rozbieraniu których najczęściej trzeba używać meteryałów wybuchowych), a z drugiej strony zaciskanie podwórzy do niemożliwości, okradanie i tak ciasnych pomieszkań z powietrza, światła i słońca, aby chyba już za życia przyzwyczajali się ludzie do mroku i ciasnoty grobowej.

Jeżeli i stare kamienice posiadały i posiadają podwórza ciemne i duszne — to rezultat tylko późniejszych dobudowywań wszelkiego rodzaju i użytku oficyn lub dostawiań nieraz dwóch, a czasem i więcej pięter na parterowych lub jednopiętrowych murach.

Miasta takie, które nie rozszerzają się wzdłuż i wszerz, nie czynią rozumnie. Usprawiedliwianie się wygórowaną ceną ziemi pod budowę niczego nie dowodzi, bo zdrowie człowieka jest stokroć cenniejsze niż pieniądz; a winda to środek sztuczny, którego powinno się używać tylko w ostatnich przypadkach, podobnie jak sztucznej szczęki lub nogi.

Starzy ludzie pamiętają jeszcze te niezliczone podwórza obszerne, pełne słońca, dzikiego wina, bzów i bawiących się dzieci, pamiętają te dziedzińce nawpół ogrody i sady w śródmieściu, w Rynku, przy ul. Floryańskiej, św. Jana, Grodzkiej, Szpitalnej, Szewskiej, na Stradomiu i Kazimierzu. Dopiero bezrozumna chciwość zysku zniszczyła te przestrzenie bezpowrotnie. Podwórzy większych mamy dziś bardzo mało. W śródmieściu możnaby je na palcach policzyć, to samo na Stradomiu i Kazimierzu. Te jednak, które się do dziś dochowały n. p. na Kazimierzu przy ul. Krakowskiej, Bożego Ciała l. 18 i 20; św. Józefa 22, w ul. Ciemnej i t. d. winny być koniecznie zachowane.

Wiele podwórzy wychodziło wprost na ulicę, od której oddzielał je mur i żelazne sztachety. Mamy je na Kazimierzu przy Nowym Placu — a w Krakowie przy ul. św. Marka l. 11, tego roku dopiero zamurowane trzechpiętrową tandetą, a szkoda; podwórko to było ciekawe i niemało słońca rzucało na przeciwległy kościół św. Marka. Przy ul. Reformackiej są piękne stacye Męki Pańskiej; przy ul, Tomasza l. 22 znajduje się podwórko nadzwyczaj szlachetnego narożnego domu, przy ul. Szpitalnej własność miejskiej Kasy Oszczędności, która winna uszanować tę kamienicę. Podobnie rzecz się ma z domem, gdzie mieści się drukarnia »Głosu Narodu« i »Czasu« i przy ul. św. Krzyża l. 4 i 6. Że zniknął widok podwórza tuż przy kościele św. Barbary a powstał dom piękny, to dzięki tylko zręcznemu rozwiązaniu fasady, choć i w tym jedynym, szczęśliwym przypadku — lepiej byłoby, gdyby zostało po dawnemu.

Najwyższy już czas, aby powstała ustawa ochrony starych domów i to ustawa bezwzględna. Tyle miejsca jest do zabudowania poza obrębem starego Krakowa i Kazimierza, że ruchu budowlanego nie zatamuje. Segregowanie kamienic starych na objekty większej lub mniejszej wartości do niczego nie doprowadzi. Zostawianie jednego domu na pamiątkę jak sobie niektórzy życzą, a burzenie całego szeregu mu podobnych nie zapobiegnie złemu. Domy stare trzeba zachować, to winno być naszym obowiązkiem, bo niema takiego, który nie posiadałby ciekawej sieni, sklepów, klatki schodowej i t. p. Zanadto zżyliśmy się z niemi od dzieciństwa, przez co je lekceważymy, zanadto może i za wiele widywaliśmy u obcych wspaniałości architektonicznych — dlatego nie imponują nam i obojętnem okiem patrzymy, jak padają pod ciosami młota i kilofa.

Bo nasze sądy i upodobania nie są bezwzględnemi, a niszczeniem lekkomyślnem

czynimy niepowetowaną szkodę miastu. Przykładów wiele, choćby z tą narożną budowlą przy ul. Krakowskiej i Wolnicy; toż kościół św. Agnieszki nie jest dokładniej i staranniej zasłonięty, jak tu Boże Ciało. Albo tuż przy św. Katarzynie na rogu ul. Skałecznej i Augustańskiej te czteropiętrowe koszary. Przecież to już gospodarka Hunów. Kamienice które tam stały, były już zniszczone, ale to nie dowód, aby je koniecznie zburzyć, wszak i wieża Maryacka zniszczona, a przecież się jej nie burzy. Trudno, że domy te nie mogły pochlubić się urokiem i pięknością tak odrazu bijącą w oczy, jak kościół lub gmach pomnikowy, ale to nie przyczyna, by je traktować jedynie jako miejsca pod budowę.

Ten sam wypadek zaszedł i przy ul. Krakowskiej i Miodowej, gdzie zrównali z ziemią całą partyę jednopiętrowych zabudowań, tak bardzo charakterystycznych, a tak bardzo ważnych ze względu na całość ulicy i jej artystyczną sylwetę. Co tam powstanie domyślić się łatwo, tem bardziej, jeżeli się widzi ten nowy ogrom na rogu Stradomskiej i Dietlowskiej z ową arogancką kopułą, którą pewnie jaki pruski raizender poradził nieszczęśliwemu architekcie twierdząc, że to będzie coś wspaniałego, coś imponującego i coś niebywałego, co będzie już z daleka wskazywało, że tu jest Kazimierz a nie co innego.

Rzeczywiście, że pomysł kapitalny!

Kraków 1913. *Franciszek Turek.*

POMNIKI PRZYRODY.

ZE STANOWISKA GEOLOGII.

Jak na poprzedniem posiedzeniu przy referacie prof. Raciborskiego zapowiedziano, p. Kuźniar wygłosił niezwykle ciekawy referat, pod tym samym tytułem, choć odmiennej treści, bo ogarniającej sprawę z punktu widzenia geologii. Prelegent na wstępie zaznaczył, że jest w naszych dziejach pewna charakterystyczna cecha, pewna ciągłość towarzysząca nam, jakby przekleństwo z dawnych czasów, a objawiająca się dziwna analogia między dziejami naszej kultury, a dziejami naszego stosunku do przyrody. Ongiś przed tysiącem lat wycinano nam nasze święte gaje, z dymem puszczano pogańskie gontyny, a z wodą nasze bóstwa. Tępiono bezlitośnie źródła rodzinnej naszej sztuki, rodzimej kultury. Ciągnie się ten proceder do dziś a jego wynikiem jest może zupełna zatrata pierwiastków swojskich, prastarych dla naszej kultury, z równoległą także doszczętną zagładą dzikiej pierwotnej przyrody. Dla uniknięcia nieporozumień, należy tu wyjaśnić, że dla ogółu, przyroda jest piękną, a temsamem i ciekawą zwykle dopiero wtedy, gdy jest pokryta bujną roślinnością, gdy tymczasem dla przyrodnika, przyroda i bez tej szaty, może być piękną i ciekawą. Nie chodzi tu naturalnie o punkt widzenia geologa, bo dla niego ziarnko piasku to tak samo świat zagadnień, jak poszarpana grań, lodowiec lub morze.

O ziarnku piasku opowiadać można przeciekawe historye; to ziarnko jest wynikiem zespołu sił i warunków, jakie możemy wytworzyć w pracowni i wtedy będziemy mieli sztuczne warunki tworzenia się ziarn kwarcu, dające obraz, jak się to w naturze tworzyło.

Ogół jednak przeciętnie uważa za pomnik przyrody dopiero to, co wielkimi wymiarami imponuje — masywy; obok rzeczy małych przechodzi bez zainteresowania.

A więc pozostać musimy przy tych większych »pomnikach«.

Tu znowu geolog, chcący pokazać te pomniki w Krakowskiem, ma zadanie trudniejsze niż botanik lub zoolog. Spojrzawszy na mapę najbliższej okolicy Krakowa, zobaczyłby każdy same tylko skały utworzone w morzu. To zdumiewające odkrycie, byłoby jednak bezwartościowem dla wszystkich, którzy morza nie widzieli, którzyby w swej fantazyi utworzyć nie umieli, tego miliona szczegółów, z którego składa się wielki obraz »morze«.

Ktoby pomyślał, że klasztor Norbertanek, poza historycznymi i estetycznymi szczegółami, również z punktu geologicznego jest ciekawy! Oto cały klasztor stoi na ławicy ostryg.

Zrekonstruowawszy warunki fizyczne i biologiczne tego morza, po którem pozostała mię-

dzy innymi i wspomniana ławica, rozwija geolog niezmiernie ciekawy obraz, dawno zaginionego świata mioceńskiego.

W iłach i soli wielickiej znajdują się korale, rozgwiazdy, w iłach Szwoszowic i Wieliczki lawy, dęby wiecznie zielone, platany, magnolie orzechy i znowu ślimaki, małże, w piaskach Bogucic, prawdziwą piaszczystą plażę, w iłach Łagiewnik i Ludwinowa, sardynki, wyrzucane na brzeg morski, w Woli duchackiej i Bonarce faunę przybrzeżną, z tem wszystkiem, co morze wyrzucało. Dokoła całej góry Bronisławy od klasztoru Norbertanek poczynając, aż daleko na zachód, przybrzeżne rafy, ławice ostryg i t. p. Trudno, rzecz prosta, wymagać od ogółu, który nigdy nie widział morza, ani wiecznie zielonych gajów, aby miał jakieś zrozumienie dla tych szczątków, dlatego zapewne we wszystkich kamieniołomach, na Sikorniku, które z Błoń widzimy niszczy się je — a to samo robi się na Krzemionkach. Możnaby jednak to i owo uratować, stworzywszy dziki park, albo nawet rezerwat. Na szczęście bliższa i dalsza okolica Krakowa tak obfituje w pamiątki historyczne, zachowania godne i naprawdę zachowywane, że one przychodzą przyrodzie w pomoc. Ostaną się tym sposobem, już nie tylko osady mórz, ale i lawy minionych wulkanów, piaski dawnych pustyń i t. p.

Z a m e k w T e n c z y n k u zbudowany na ł a w i e s t a r e g o w u l k a n u. Na szczęście zamek ten jest rezerwatem i mamy nadzieję, że pozostanie nim na długie czasy. Ów wulkan wybuchał, gdy się kończył okres pustynny w Krakowskiem.

Na zachód od Krakowa była kiedyś pustynia, a na jej brzegu dochowały się w piaskach zasypane oazy drzew.

W Chemnitz w mieście samem dzięki regulacyi, odkryto szczątki tych samych drzew, z tegoż czasu (z permskiej pustyni). W ciągu minionych milionów lat skrzemieniały te olbrzymie pnie zupełnie, ale stoją tam tak, jak rosły, a dziś dzięki kulturze niemieckiej, może je każdy oglądać w ogrodzie publicznym obok dzisiejszych najbliższych kuzynów.

Prelegent wyraża nadzieję, że chyba i u nas znajdzie się jakiś kącik na plantach, gdzieby te nasze potężne pnie skamieniałych »araukarioxylonów« mogły stanąć obok dzisiejszych araukaryi, które będąc potomkami tamtych zachowały się już dziś tylko w Ameryce i Australii.

Jednorazowy wydatek kilkuset koron na przewiezienie kilku pni z Kwaczały, Alwernii czy Regulic, nie mógłby chyba być przeszkodą, a zyskałoby się rzecz bardzo pouczającą.

Prelegent wymienił dużo miejscowości w Krakowskim powiecie, między innemi Dolinkę, Czerną, Dubie i wiele innych, ciekawych z powodu prześlicznej przyrody; niestety wiele z nich szpeci człowiek w sposób okropny. Między innemi zaznaczał, że s k a ł a K m i t y, tak niegdyś pełna uroku dzikiego ustronia, teraz otrzymała nietylko ornament na swym szczycie, ale nieodzowną budę drewnianą — z piwem i kwarglami, efekt pseudokultury, zaśmiecającej co się da. Tu należy wkroczyć z ochroną przed wszelkiego rodzaju upiększeniami.

Wogóle należy się zastanowić, czyby się nie dało stworzyć rezerwatów, nietylko z punktu estetycznego ale i ze stanowiska geologii.

Tu pierwsze miejsce muszą zająć jaskinie, które były często siedliskiem człowieka przedhistorycznego.

Mieliśmy piękną grotę w P i e k a r a c h n a d W i s ł ą, z zabytkami najstarszego człowieka na ziemi krakowskiej, obecnie zupełnie ją zniszczono.

Należy opieką otoczyć g r o t ę T w a r d o w s k i e g o, pewną stacyę neolityczną w okolicy Krakowa, a wogóle wiele miejsc zarezerwować nietylko przed nieuctwem ogółu, ale wprost przed grabieżą. Gmina i kraj mogłyby w tę sprawę wniknąć.

W Krakowskiem mamy już tylko stary trzon górski, od milionów lat pomału przekształcany i niszczony. Są to formy starcze, które już zwykle oko mało uderzają.

Jakżeż innym, pełnym życia, jest obraz gór młodych np. Tatr. Tutaj tętno życia bije ogromnie silnie i dlatego zakusy niszczenia są znacznie więcej szkodliwe.

Źle pokierowana chęć rozrostu ekonomicznego opętała umysły. Chcą raptem z całych Tatr uczynić jedną wielką oberżę, coś w rodzaju s k a ł y K m i t y. Stawianie pamiątek na szczytach gór, czy wogóle w górach, uważać należy za wykwit drobnomieszczański. Żelaziwo będzie świadectwem ich małostkowości, rdzewieje, rozpadnie się, a nadto świadczyć jeszcze będzie o naszem barbarzyństwie. Na szczęście przyroda gór goi rany bardzo szybko. Kopano ongiś rudę w Tatrach, były to na owe czasy poważne kopalnie. Obecnie tylko ten co je będzie badał, pozna gdzie się znajdują — ogół przejdzie obok i nie spostrzeże nic. Oto drobne sprawy rąk człowieka, w stosunku

do wielkości przyrody. Jest jednak naszym obowiązkiem pewnym rzeczom przeszkodzić i pewne objawy dzikości i barbarzyństwa powstrzymać, innym przeciwdziałać.

W szeregu zdjęć fotograficznych, dał prelegent obraz tego, o czem wspominał, przyczem nadmienił, że należałoby w wielkich rozmiarach sporządzić zdjęcia naszych skał i widoków i tymi zastąpić tyrolskie i styryjskie obrazki i wogóle obce reklamowe obrazy z natury zastąpić naszemi, które są równie piękne, dla nas milsze, a dla przejezdnych ciekawsze niż po tysiąc kroć widziane w innych miejscach. Ten dział odnosi się do naszej turystyki. *R.*

MUZEUM ODLEWÓW GIPSOWYCH W KRAKOWIE.

W związku z memoryałem Prof. dra P. Bieńkowskiego, wygłoszonym na posiedzeniu Akademii Umiejętności w Krakowie dn. 5.XII 1912 r., p. Stanisław Ostrowski artysta rzeźbiarz z Paryża, bawiący chwilowo w Krakowie, podaje szereg uwag, dotyczących powstać tu mającego Muzeum odlewów gipsowych.

Uwagi te umieszczamy poniżej, gdyż przyczynić się mogą do wyjaśnienia sprawy, mało dotychczas ogółowi znanej, a mającej bardzo ważne i podstawowe znaczenie dla rozwoju naszej kultury. Idzie o utworzenie w Krakowie Muzeum porównawczego sztuk plastycznych, na wzór *Musée comparé du Trocadero* w Paryżu. Sprawę tę poruszył p. Ostrowski w r. 1910 na konferencyi w Tow. Przyjaciół sztuk pięknych i obudził nią zainteresowanie ś. p. prof. Maryana Sokołowskiego, który przyrzekł zająć się nią gorąco i opracować plan takiego muzeum. Gdy śmierć prof. Sokołowskiego przerwała tę pracę, podjął ją po zmarłym prof. Bieńkowski, a memoryał jego przyjęto na posiedzeniu Akademii Umiejętności z najwyższem uznaniem.

W tej sprawie przytaczamy wyjątek z szerszego szkicu p. Ostrowskiego:

Na to, abyśmy zdobyć się mogli na prawdziwe w znaczeniu europejskiem muzeum, jest dzisiaj trochę za późno. Zapewne, resztki, które posiadamy, są jakby strzępami magnackiej szaty, dowodem, żeśmy żyli w łączności z Zachodem, byli bogaci; jednak w dzisiejszych czasach, strzępy te rzadko dorzucane będą do skarbów narodowych, a nierzadko zmienia się je na złoto.

Wierzę, że wyjawienie tej, znanej zresztą prawdy, nie zniechęci chyba ludzi dobrej woli do dalszego bogacenia tego wspólnego skarbu, jakim jest zaczątek naszych narodowych muzeów. Ale chodzi o rzecz inną. Co do mnie, pisząc o konieczności stworzenia muzeów, jako nieodzownych dla każdego artysty warsztatów pomocniczych, miałem na myśli przegląd kultury narodowej i wszechświatowej, jakim jest np. dla Francyi *Musée comparé de Trocadero* w Paryżu. Chodzi tu oczywiście o całokształt sztuk plastycznych, ze szczególnym jednak naciskiem na rzeźbę, ze względu na przystępność i doskonałość reprodukcyi oryginałów, jakie dzięki odlewom gipsowym posiąść można. Początki tej idei znajdujemy w Warszawie; sięga ona, zdaje się, czasów Stanisława Augusta, kiedy to starano się poważnie na grunta polskie przeszczepić kulturę plastyczną Zachodu. Jednak pierwszy lepszy wyjazd za granicę wykaże, że każda już tylko znaczniejsza akademia sztuk pięknych, posiada większe zbiory porównawcze, aniżeli ma dotychczas kraj nasz cały.

Powiedzą niektórzy polscy artyści, t. zw. indywidualiści (futurystów jeszcze nie mamy), że to nie współczesne i że to nie nasza kultura. Ale czyż kultura egipska, grecka, bizancyum, gotyk, renesans jest dziś «narodową szkołą« we Francyi, w Niemczech, Włoszech? Powtóre, jakim cudem uświadomić sobie można odrębności i cechy indywidualne

kultury danego narodu, jeśli właśnie nie przez zestawienie jej z innemi. — Przecież i my posiadamy skarby formy, których odrębności tak ciekawi jesteśmy, w miastach, miasteczkach, po wsiach, że wspomnę tylko o Kazimierzu nad Wisłą, o rzezbie ludowej, religijnej, o Wicie Stwoszu i o ostatnich latach kilkudziesięciu plastyki polskiej. My, którzy dbamy tak bardzo o przynależność Wita Stwosza do Polski, nie znamy go nawet z reprodukcyi, a ci, którzy widzieli nawet niektóre oryginały nie mogli sobie również zdać sprawy z całości dzieła tego geniusza polskiego. U nas, w kołach kulturalno-artystycznych, mówi się o tem nieco, lecz często rozcina się te zagadnienia twierdzeniem, iż w gruncie rzeczy sa to sprawy tylko rzeźbiarskie. Gdyby jednak umiano wniknąć głębiej w rozwój dzisiejszej sztuki europejskiej, dostrzeżonoby ze zdziwieniem, jak te mury chińskie, wytwarzane jeszcze u nas między poszczególnemi gałęziami sztuki, walą się na Zachodzie, ustępując potrzebie głębszych studyów nad ogólną historyą cywilizacyi.

Wspomnę tylko »indywidualistę« Rodina, który studya i podziw swój nad przeszłością manifestuje, wydając rok rocznie olbrzymie sumy, zarobione swą »najnowocześniejszą« rzeźbą, na zakupno połamanych antyków greckich.

Zresztą mimo opozycyi takiej opinii, jak np. wymieniona powyżej, społeczeństwo nasze rozumie konieczność ogólniejszych studyów nad sztuką, czego najwymowniejszym dowodem są bezustanne wyjazdy za granicę artystów naszych, pielgrzymujących tam o własnych siłach, lub wspomaganych nawet specyalnemi stypendyami. To jednak niestety nie jest środkiem radykalnym, nie może bowiem żadną miarą zastąpić systematycznych, spokojnych studyów stałych, których sumienny artysta nie powinien nigdy za »skończone« uważać. Weźmy proste obliczenie: młodego artystę, zdolnego, żądnego wrażeń i pracy, któremu środki własne lub stypendyalne pozwoliły na roczny, dwuletni pobyt za granicą, dajmy na to w Paryżu. Artysta taki, wyjeżdzający z kraju, gdzie można powiedzieć, nic oprócz rodzimej sztuki nie widział, spotyka się wprost z ogromem wrażeń tak co do liczby rzeczy, jak i odrębności ich w stosunku do kraju. Nie przygotowany, ugina się pod zbyt wielkim nawałem materyału, którego uporządkować w sobie odrazu nie umie i nie może. Przypuśćmy, że ogląda 6 tysięcy arcydzieł przeszłych czasów, z których na każde trzeba nietylko spojrzeć, lecz przyjąć je w duszy, lub odrzucić (przecież artyście nie chodzi o przejście tylko z Baedekerem przez muzea), Obliczam dalej: architektura, życie inne, 4 olbrzymie doroczne wystawy, wystawy specyalne, prądy i kierunki, z którymi jednak artysta polski w Paryżu zapoznać się musi, bo przecież za powrotem zapytają go w Krakowie, czy widział już wystawę Renoira, chińską, perską, futurystów, lub kubistów. Biedny polski artysta! Lat ma 24, duszę gorącą, a rok ma 365 dni tylko, więc gdy go w dniu trzechsetnym cicerone paryski, faktor od sztuki, poprowadzi do nowych, a dziesiątych już z rzędu futurystów, rzecz kończy się zwykle rozmową przy czarnej kawie i mimowolnem złożenia broni. Mój Boże, trzebaż przecie powrócić z czemś do kraju, pokazać, że się czasu nie straciło; lepiej więc już dla ułatwienia wziąć pierwszą lepszą z brzegu formułę. Tytuł modernisty, rewolucyonisty w sztuce jest zresztą bardzo miłym, tak miłym, że dla zyskania go artysta poświęca nieraz siebie. Biorąc samą zewnętrzną stronę rzeczy, zapomina, że musi być ona wynikiem własnej duchowej drogi i sumiennej kulturalnej pracy artysty; w przeciwnym bowiem razie, pożyczona z frazesem »nagłej ewolucyi«, pokrywa w sztuce najczęściej pospolity manewr giełdowy. Na to zaś, żeby własną drogę duchową odnaleźć szczerze w tym natłoku światowej kultury, artysta nasz musiałby lata przetrawić za granicą, a i wówczas jeszcze

duszę mieć silną i zdrową, aby nie powrócić z articles de Paris, albo, machnąwszy ręką, nie powiedzieć w duszy: Róbmy po dawnemu, a jakoś to będzie.

Tem ciężej jest mu zaś przełamywać trudności i pokusy, że u kresu ich, gdy powróci do kraju, czeka go najpewniej niezrozumienie, jeśli już nie niechęć u swoich. Temu rozdźwiękowi między szczerymi przedstawicielami sztuki a społeczeństwem, dającem się dziś z konieczności unosić łatwej, snobistycznej fali mody, zaradzić może jedynie i obustronnie założenie u nas takiej uczelni plastycznej, jaką jest muzeum porównawcze.

Piszę: obustronnie, boć nie tylko artyści korzystać z niej będą. Trzeba widzieć za granicą w południa niedzielne, tłum robotniczy i mieszczański, z jakim zapałem i zrozumieniem kształci się w tych szkołach dla analfabetów plastycznych. A analfabetami plastycznymi nazywam tych, którzy teoretycznie znają historyę sztuki i oglądali reprodukcye w książkach, nawet tych, którzy zwiedzili przejazdem Niemcy, Francyę lub Włochy. Na to, aby przewidzieć, trzeba z kulturą plastyczną zżyć się, mieć ją ciągle przed oczyma i w sercu. Dlatego twierdzę, że założenie muzeum porównawczego w mieście, które go dotychczas nie miało, posuwa kulturę plastyczną tego miasta o setki może lat naprzód. A teraz, jakimi środkami dałoby się u nas zrealizować to dzieło. Przedewszystkiem powinnoby się tem zająć Towarzystwo miłośników historyi i zabytków Krakowa i związawszy się z Tow. prz. szt. p., ze szkołami szt. p., z istniejącemi muzeami oraz instytucyami kulturalnemi, zacząć wspólnie akcyę nad zdobywaniem, czy zapewnianiem sobie odlewów, z wyraźnym naciskiem na cenne zabytki naszej przeszłości plastycznej, które tymczasem z dnia na dzień dosłownie kruszeją. Następnie wytworzywszy plan treści wewnętrznej, oraz pokonania realnych trudnoćci, rozłożyć obie te prace na lata. Sądzę, że nie wielki na razie nawet materyalny wysiłek społeczeństwa poparty uświadomioną ambicyą jednostek, mógłby z czasem wytworzyć u nas dzieło równie monumentalne, jakiem jest *Trocadéro* dla Paryża. Zresztą, dzięki dokonanej już w tym kierunku pracy innych narodów, odpada dziś wielka część trudności i kosztów w wykonaniu podobnego dzieła. Rzecz, która kosztowała pierwotnie olbrzymie sumy z powodu całych nieraz dalekich ekspedycyi, trudności transportu i t. d., dzisiaj wyniesie sumę minimalną, nie straciwszy nic na doskonałości odlewu, dzięki starannie odświeżanym formom. Poza tem miasto, które pierwsze w Polsce rozpocznie tę pracę, będzie miało możność sprzedaży, lub wymiany odlewów z dzieł naszej plastyki, a zarazem będzie rozsadnikiem kultury w innych miastach polskich, które bez wątpienia pójdą rychło za jego przykładem. Wytworzy to jednę jeszcze działalność nienajmniejszej wagi: da zajęcie i wydoskonali tak potrzebnych u nas fachowych sztukaterów artystycznych.

Słowem — założenie muzeum porównawczego, będąc działem koniecznem, jest zarazem przedsięwzięciem, które z wiarą w powodzenie podjęte być może przez każde społeczeństwo. Jest to otworzenie szkół dla analfabetów plastycznych, i to szkół bezwzględnie doskonałych, dających rękojmę, że wykształcą nam wreszcie świadomych pracowników i odbiorców. I to jest owo pierwsze narzędzie, które umożliwi w kraju pracę naszych artystów, Krakowowi zaś da pewność, że obejmie hegemonię artystyczną w Polsce, że stanie się naszemi Atenami polskiemi w prawdziwem słowa tego znaczeniu.

REKLAMA U NAS

A W SZCZEGÓLNOŚCI REKLAMA ULICZNA W KRAKOWIE.

Budzący się u nas od lat kilkunastu jak powszechnie twierdzą, ruch w handlu i przemyśle, szuka z natury rzeczy, sposobności do rozgłoszenia i powiadomienia ogółu o swej egzystencyi. Lecz nie tylko sfery kupieckie i przemysłowe odczuwają potrzebę takiego rozgłaszania, zwanego dziś pospolicie »reklamą«. Za konieczność uważają także rozgłosić o swem istnieniu, różne przedsiębiorstwa zabaw, widowiska, teatry, wystawy uzdrowiska, zakłady lecznicze i wiele innych, którym zależy na zwerbowaniu publiczności albo zwróceniu na siebie uwagi. Widzą się także spowodowane różne urzędy do publicznego ogłoszenia na ulicy swych komunikatów, a nawet stowarzyszenia religijne i kościoły uznają u nas potrzebę informowania wiernych ogłoszeniami na zewnątrz swych murów.

Ta nieodzowna konieczność reklamy względnie rozgłoszenia, wynikająca z nowego ustroju społecznego naszego wieku, ujawnia się w wielorakich formach. W owych zamierzchłych czasach, gdy skupienie ludzi na jednem miejscu nie było tak wielkie, każdy wiedział gdzie czego szukać należy. To też ówczesny prymitywny handel nie potrzebował osobliwych wysiłków do zapewnienia sobie zbytu. Najstarszą zapewne formą rozgłaszania, było wykrzykiwanie przez t. z. »wykrzykiwaczy« ulicznych. Dla przemysłu i rękodzieła, które pod ochroną cechów, nie potrzebowały się obawiać zapędów konkurencyjnych, wystarczyło w celu zwrócenia na siebie uwagi, umieszczenie przed domem odpowiedniego godła lub emblemu. Jakże się czasy zmieniły. Kupiec dzisiejszy za pomocą pisma i słowa drukowanego przemawia do mas, zachwala swój towar, wpływa na przekonanie i smak publiczności, zjednywa ją sobie, a przy pewnej umiejętności wprowadza nawet rodzaj suggestyi.

Do usług wszechwładnej reklamy schyliła się przedewszystkiem prasa i sztuka drukarska. Słowo drukowane w dziennikach i czasopismach w postaci inseratów, jest potężnym i najskuteczniejszym czynnikiem reklamowym. Na ulicy spotykamy dalszą odmianę reklamy, plakaty czyli afisze uliczne, wszelkiego rodzaju szyldy i tablice firmowe, okna wystawowe, godła, latarnie i mnóstwo innych mniej lub więcej wydatnych środków werbujących.

Reklama, jako środek do celu, jako czynnik do zwiększenia zbytu i wywołania konsumcyi i u nas po dziś dzień stała się koniecznością. Musimy przecież ogłosić, że produkujemy jakiś doskonały wyrób, że sprzedajemy korzystnie, musimy się przypomnieć, że istniejemy jako lekarz, adwokat i t. d. Coprawda, u nas jednostki tylko zrozumieją i umieją należycie ocenić wartość ekonomiczną dobrej reklamy. Nieliczni są nasi kupcy i przedsiębiorcy, którzy wydają pieniądze na reklamę, a jednak są pomiędzy nimi i tacy, którzy, jak na nasze stosunki, poświęcają dosyć znaczne sumy. Czy jednak odnoszą z tego poważniejsze korzyści, o tem wątpię i śmiem twierdzić, że wielu nie pokrywa nawet poświęconych na cele reklamowe kosztów. Wina tych niepowodzeń tkwi głównie w nieświadomości ogłaszających się, którym sztuka reklamowa, będąca dziś gałęzią nowej specyalnej wiedzy, jest zupełnie obcą. Gdy w Ameryce, Anglii, Niemczech i innych krajach pracuje cały sztab zawodowych reklamistów, którzy swe doświadczenia oddają na usługi firm potrzebujących reklamy, — a bez których fachowej dorady nikt nie wydałby na ten cel poważniejszej kwoty, — u nas natomiast każdy laik tworzy sobie sam reklamę według swego upodobania; wydając pie-

niądze bezmyślnie i bezplanowo. To też reklama polskich przedsiębiorstw jest ze wszystkich najmniej produktywną. Skutek bowiem nie od tego zależy, że się reklamę robi, tylko j a k s i ę j ą r o b i. I sam sposób reklamowania zeszedł u nas, a zwłaszcza w Galicyi, na bezdroża. Gdy bowiem w innych krajach, wedle wykazów statystycznych, główną reklamę stanowią inseraty, — bo przeszło 90$^0/_0$ z ogólnie poświęconych sum wydaje się na ogłoszenia w dziennikach i czasopismach, jako na najtańszy i najskuteczniejszy sposób reklamy, — u nas zamało użytku robi się z tego rodzaju propagandy, a chwyta się za to mniej skutecznych i droższych sposobów.

Szczególnie w Krakowie od lat kilkunastu rozpowszechniło sie jak nigdzie indziej plakatowanie uliczne, w którem plakatujący upatrują całą i jedyną swą reklamę. Ktoś nieznający stosunków miejscowych, mógłby sądzić z powyższego określenia, że chodzi tu o znany i praktykowany za granicą unormowany sposób plakatowania na słupach plakatowych, afiszami mniej lub więcej artystycznymi. O, nie — to zupełnie coś odmiennnego i w skutkach i formie zewnętrznej. Takich słupów przeznaczonych na plakaty i ogłoszenia *à la Litfass,* jak się je w miastach zagranicznych spotyka, Kraków dotąd nie posiada. Tu się uprawia plakatowanie na »ślepo«, gdziebądń jest trochę wolnego miejsca. Pozatem większość tutejszych plakatów, to wytwór najgorszego typu, nie mający nic wspólnego z kierunkiem artystycznym i nowoczesną reklamą. Jest to spaczone naśladowanie zagranicy, wyrosłe na dziwoląga. Z małymi wyjątkami, nie są to reprodukcye litograficzne, tylko dzieła... sprofanowania sztuki drukarskiej, odbite brzydkiemi czcionkami i długiemi litaniami bezmyślnego tekstu na kilkometrowych czasem płatach papieru. Takie wstrętnie zadrukowane szmaty papierowe, różniące się od siebie co najwyżej jaskrawym kolorem i ogromem formatu, lepi się bez planu na mnóstwo tablic, na parkany, płoty, wszelkiego rodzaju budy, rusztowania i oszalowania budowlane — krótko mówiąc wszędzie, gdzie tylko trochę jest wolnego miejsca. A gdy tego zabraknie, co zdarza się z reguły, pachołek biura afiszowań »klajstruje« na pierwszy lepszy kawał choćby uświęconego patyną wieków muru, tak, że miasto bywa dosłownie »oblepione« tą wstrętną pstrokacizną, ciągnącą się całymi kilometrami.

Pominąwszy zupełną bezcelowość takiej reklamy, jest to bezwarunkowo wprost karygodne oszpecenie pamiątkowego i drogiego nam wszystkim miasta. Dziwić się tylko trzeba, że magistrat krakowski, otaczający miasto i jego zabytki znaną pieczołowitością, może tolerować a nawet uprzywilejowywać coraz to nowe przedsiębiorstwa afiszerskie. Tym uprzywilejowanym wydaje się miasto na łup, w którym mogą według swej woli w iście wandalski sposób zbezczeszczać wygląd pięknych ulic. Z tym stanem rzeczy zżyli się Krakowianie, a przynajmniej większa część mieszkańców Krakowa tak dobrze, że prawie wcale już nie zwracają uwagi na te rażące oszpecenia ulic, jak również dawno przestała ich interesować treść rozlepionych afiszy, krzyczących »całą gębą« — a właściwie nic nie mówiących. Jakiż więc skutek z tego rodzaju reklamy?

Każdy obcy przejezdny, przyzwyczajony do kulturalnego wyglądu ulic, musi pod tym względem wywieźć z Krakowa chyba jaknajgorsze wrażenia. Pewien podróżujący, który potrącił o Kraków, opisuje swe wrażenia w jednem zagranicznem piśmie i wspomina pomiędzy innemi o naszym grodzie temi słowy: »Kraków ma śródmieście o charakterystycznym pięknym wyglądzie średniowiecznym, posiada wiele zabytków i świadczy o wielkiej minionej (!) kulturze. Prawdziwą ozdobą miasta jest pierścień plant. Natomiast razić musi każdego człowieka, posiadającego choć trochę smaku, sposób reklamy, jaką się tu uprawia. Obrzydliwe szyldy i napisy sklepowe szpecą stare, prześliczne nie-

raz fasady domów. Niemniej wstrętny widok przedstawia afiszowanie uliczne. Na każdym kroku prześladują oko, bez gustu zadrukowane papiery, rozlepione nie na słupach plakatowych, których tu wcale nie spostrzegłem, tylko zwieszające się wszędzie w bezładzie poszarpane na murach, domach i płotach. Na szczęście nie zrozumiałem treści tych niezwykłych reklam, inaczej byłbym doznał jeszcze większego niesmaku. Spotyka się także w śródmieściu ulicznych handlarzy owoców — brudnych, o obcym wyglądzie chłopów, którzy rozbili swe rażące budy, wystawiając swój »towar« — oprócz owoców, różne smakołyki »Leckerbissen« w sposób urągający wszelkim pojęciom hygieny. Czy tu doprawdy niema żadnej władzy, któraby przestrzegała porządku na ulicy? Jestem przecież w Polsce! a w Polsce — jak kto chce!«

Tak obcy rozsławiają Kraków, trudno jednak, rzeczywistości zaprzeczyć nie można.

(C. d. n.) *Prosper Jan Żmijewski.*

Do
PRZEW. SIÓSTR FELICYANEK NA SMOLEŃSKU
w KRAKOWIE.

Ponieważ niezmiernie zeszpecony plagą afiszy mur przy ulicy Zwierzynieckiej został z rozkazu Przewielebnych Sióstr uporządkowany, uważamy za nasz obowiązek podziękować w imię niewielkiej niestety ilości Kraków miłujących mieszkańców, za danie dobrego przykładu godnego naśladowania. Dziękujemy raz jeszcze za łaskawe przychylenie się do naszej prośby. *Wydział.*

Do
ŚWIETNEGO MAGISTRATU
stołecznego królewskiego miasta Krakowa.

Wśród licznych w Krakowie zaniedbanych murów (i parkanów jak np. dawna posesya Wołodkiewiczów przy ulicy Lubicz) o smutne pierwszeństwo ubiegają się własnością stoł. król. Miasta Krakowa będące budynki, t. zw. podominikańskie od ulicy Dominikańskiej do Siennej. Tynk odpadający od muru, okna wybite i słomą zatkane, liczne źle rozmieszczone plakaty świadczą o słabej opiece nad tą ruchliwą częścią naszych Plant tuż obok wspaniałego kościoła Dominikanów, opodal pięknych murów klasztoru na Gródku. Mamy nadzieję, że Świetny Magistrat wglądnie w te sprawy i postara się o nadanie tym budynkom przyzwoitego wyglądu. *Wydział.*

Do
PRZEŚWIETN. ZAKONU OO. FRANCISZKANÓW
w KRAKOWIE.

Nasze Śródmieście posiada tyle pięknych, a przez swe historyczne znaczenie drogich zabytków, tyle miejsc, które musimy w największej utrzymać pieczołowitości. Ojcowie w tym kierunku zdziałali wiele, nie mówiąc już o przepięknie odnowionych krużgankach, nie mówiąc o świetnym ozdobieniu kościoła, ale mury od ulicy Franciszkańskiej i od Plant mogą miastu i jego Magistratowi służyć jako przykład. Szkoda jednak wielka, że od ulicy Poselskiej wielki mur ogrodu klasztornego strasznie oszpecony afiszami. Tłoczą się ci uliczni krzykacze nawołują do spraw może nie zawsze zgodnych z zakonną ciszą. Przeto w imię piękna, świętości miejsca i miasta wiekowej powagi, upraszamy Przewielebnych Ojców o łaskawe usunięcie tej szpetoty z murów swej posesyi, za co składamy naprzód podziękowanie. *Wydział.*

TREŚĆ NRU 3 i 4:

Redaktor odpowiedzialny: JAN GRZYWIŃSKI.

W KRAKOWIE 1913 ROKU. — CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU", POD ZARZĄDEM ALEKSANDRA ŚWIERZYŃSKIEGO

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU

na model butelki. Nadesłano 28 projektów pod godłami: 1) «Nektar«, 2) «Narcyz«, 3) «L. W. A.«, 4) «Bogumił«, 5) «Sęp«, 6) «S. Z.«, 7) «Haśka«, 8) «X«, 9) «Teo«, 10) «Hal«, 11) «A«, 12) «W. K.«, 13) znak półkole, 14) «I«, 15) «II«, 16) «L. S.«, 17) «Disciputus«, 18—23) :: «Strzeb«, 24) «Orna«, 25—28) «S. Z.«. ::

Sąd konkursowy złożony z prof. Stanisława Dębickiego, Dr. Henryka Kunzeka, art. mal. Jana Bukowskiego, architekta Witolda Małkowskiego i Jana Żmijewskiego, przyznał nagrodę I-szą projektowi pod godłem «Bogumił«, II-gą projektowi z godłem «W. K.«, III-cią, pracy oznaczonej literami «S. Z.« Po otwarciu kopert stwierdzono, że autorem projektu, który otrzymał nagrodę I-szą jest p. *Mieczysław Filipkiewicz*, II-gą p. *Karol Homolacs*, III-cią p. *Zofia Kossuth*.

Nadto zakupiono modele pod godłami «Strzeb« I. p. Zygmunta Loreca i «Narcyz« p. J. Hryńkowskiego. — Wyróżniono także projekty etykiet pod znakiem «S. Z.«



— W KRAKOWIE 1913 ROKU. — CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU", POD ZARZĄDEM ALEKSANDRA ŚWIERZYŃSKIEGO. —